

Maryam Madjidi

# Lalka i Marks

przełożyła Magdalena Pluta



Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

## Był sobie kiedyś brzuch matki

W brzuchu kobiety rośnie dziewczynka.

– Nie, nie pójdziesz manifestować, jesteś kobietą, to niebezpieczne.

Starszy brat wymierza jej siarczasty policzek. Ona się nie odzywa, ale wpija w niego harde spojrzenie upartej kobiety i wychodzi wznosić dumnie pięść na ulicy, zmieszać swój głos z rykiem rozjuszonego tłumu. Nie raz jeszcze oberwie w twarz i zostanie obrzucona wyzwiskami, ale nic nie powstrzyma dwudziestolatki – ani policzek od brata, ani ciąża, ani nawet strach, że nie wróci już stamtąd żywa.

*1980 – Uniwersytet Teherański*

Kłęby dymu w oddali, strzały, krzyki.

Boję się, czuję zagrożenie i jeszcze bardziej się kulę w głębi brzucha, ale ten brzuch, pchany niepowstrzymaną siłą, zmierza wprost ku śmierci.

Młoda matka biegnie korytarzami uniwersytetu. Niewiele brakowało, a upadłaby – omal się

nie poślizgnęła w kałuży krwi, której ślady prowadzą do sali wykładowej. Słysząc stamtąd rozdzierające wrzaski.

Podchodzi bliżej i patrzy. Przez uchylone drzwi widzi dziewczynę przygniecioną do stołu, jakiś facet próbuje ją zgwałcić. Obok, na podłodze, młody mężczyzna. Roztrzaskują mu czaszkę uderzeniami kija. Ona patrzy i zasłania dłonią usta, by stłumić okrzyk przerażenia.

Jest wstrząśnięta i drżą jej nogi.

Wszędzie fruują notatki z wykładów, karty rejestracyjne, dokumenty. Powyrywano stronicę z książek, przewracano całe regały. Ręce grzebią w szufladach. Usta krzyczą. Stopy depczą chusty kobiet. Ręce wyrywają im włosy. Kobiety, wleczone po ziemi, bronią się, jak mogą. Mężczyźni wyzywiają je od kurew. Mają nabiegłe krwią oczy i wymachują kijami, w które powbijali gwoździe. Krzyczą *Allah akbar!*

Odgłos roztrzaskiwanej czaszki.

Ona wciąż biegnie, ale nie może znaleźć wyjścia. Widzi młodych ludzi padających na ziemię. Słyszy krzyki, uszy broczą jej krwią. Chciałaby zniknąć, stać się maleńka jak mrówka, prześlizgnąć się do kąta ze swoim niemowlęciem.

Jej niemowlę. Nagle uświadamia sobie, że jest w ciąży.

Matka nosi w sobie moje życie, ale Śmierć jest już przy niej, zatacza kręgi. Śmiejąc się

szyderczo, wygina grzbiet w łuk. Długie kościste ręce chcą wyrwać dziecko brzemiennie kobiecie, bezzębne usta zbliżają się, by ją pożreć.

Widzi ją dwóch mężczyzn, w ich rękach chwieją się nabijane gwoździami kije. Idą w jej stronę. Okno jest otwarte.

W siódmym miesiącu ciąży musi wyskoczyć z drugiego piętra, waha się, odwraca, wpatraje w kije. Czuje, jak w jej ciało wbijają się gwoździe.

Skacze.

Ona skacze, ja spadam.

Ty zawieszasz w powietrzu, a ja spadam.

Spadam i twój brzuch robi się wklęsły. Kulę się tak bardzo, że aż znikam.

Spadam, a ty porzucasz mnie w tym zawieszonym w pustce brzuchu.

Wyrzucasz mnie poza siebie. Moje pierwsze porzucenie. Moje pierwsze miłosne rozczerwanie.

Anioł bez skrzydeł, moja nieodpowiedzialna wariatka, moja słodka morderczyni; w jednej chwili sprawiasz, że powstaje we mnie wklęsnięcie, w którym zakorzenia się wszystkie lęki mojego przyszłego życia.

Spadasz, a ja umieram na sekundę w twoim brzuchu, który staje się grobem.

Matka leży na ziemi, nie może się ruszać, czuje przeszywający ból w nodze. Ma twarz zwróconą ku niebu, szeroko otwarte oczy, wpatruje się w białe obłoki. W jednym z nich dostrzega kształt końskiego łba. Mąci się jej wzrok, głowa zaczyna ciążyć; zanim zapadnie w niebyt, w ostatniej chwili kładzie ręce na brzuchu.

Dziecko się porusza.

## Był sobie kiedyś głos babci

Na początku jest dla mnie głosem, samym głosem. Jej głos dociera do mnie przez ścianę skóry, tkanek, krwi i łożyska, chroniących mnie przed okrucieństwem zewnętrznego świata.

Jej głos jest kruchy, krystaliczny, z ostrzejszymi akcentami; drżąca na wietrze koronka, a ta jednak skrywa w swoich oczkach zapomnianą igielkę, gotową ukłuć, żeby się bronić albo przywołać nas do porządku.

– Jesteś kompletnie niepoczytalna! Nie dość, że zabijesz siebie, to jeszcze moją pierwszą wnusię!

– Musiałam. Nie mogłam zostawić towarzyszy na pastwę śmierci.

– I co, może ocalałaś któregoś z tym swoim brzuchem w siódmym miesiącu?

– Nie, nie ocalałam żadnego, ale widziałam.

– Co takiego widziałaś?

– *Madar*<sup>1</sup>, gdybyś zdawała sobie sprawę... Nie wolno przenigdy tego zapomnieć.

---

<sup>1</sup> Mamo.

– Dosyć tych bredni, słyszysz? Zostaniesz tutaj aż do rozwiązania. A potem niech cię diabli wezmą!

– Zaświadczę o tym, co widziały moje oczy.

– „Zaświadczę”, ale co to znaczy „zaświadczyć”?

– To dzieciątko też zaświadczy w swoim czasie, wiem o tym.

– Temu dzieciątku łaskawie podarujesz trzy miesiące spokoju. Widzisz ten klucz? To do pokoju, w którym cię zaraz zamknę aż do dnia porodu.

I oto żyjesz w odosobnieniu w domu mojej babci.

Leżysz sobie wygodnie na miękkiej kanapie w salonie. Jest dobrze. Matka karmi córkę, a ta karmi swoje dzieciątko. Ręce babci są w ciągłym ruchu. Przygotowuje posiłek – w kuchni rozchodzi się przyjemny, delikatny zapach ryżu z masłem i szafranem.

Już kocham babcię, moją wielką obrończynię. W głębi tego niespokojnego brzucha natychmiast rozpoznaję brzmienie jej głosu. Mateńko Massoumeh, chciałabym, żebyś na zawsze wzięła nas do swego domu jako zakładników, żebyś już nigdy nie pozwoliła nam stąd odejść. Daj nam więcej tych wybornych dań, herbaty, ciepła, smakołyków. Zatrósz się o mój pierwszy dom. Otul nas, ucisz krzyk świata, mów do nas jeszcze. Na ogniu gwizdź czajnik do herbaty. Na murach

kołyszą się pędy winorośli, przemyka kot, matka głaszcze brzuch. Nareszcie odpoczywa jak rozsądna kobieta w ciąży. Z dala od manifestacji, broszur, gwoździ wbijanych w czaszki młodych ludzi. Zamyka oczy, żeby zapomnieć, ale makabryczne obrazy powracają, dręczą ją stale, cała armia zjaw bez twarzy. Domagacie się świadectwa, ale nie teraz. Litości, zostawcie nas w spokoju, odejdźcie! Rozdaję kopniaki, by was stąd przegonić. Moja matka podskakuje. To dobrze, przywróciłam cię do życia, tak jak głos babci. Obie będziemy cię trzymać z dala od nich.



## Były sobie kiedyś oczy matki

Godzinami wpatruje się w oczy matki. Płyną z nich bezgłośnie melodie, które dziewczynka usiłuje zapisać w szkolnych zeszytach.

Udzielić głosu twoim oczom.

Matka prawie się nie odzywa. Marzenia krążą wokół jej głowy jak ptaszydła nad wieżą milczenia. Któregoś dnia powiedziano dziewczynce, że jej przodkowie składali ciała zmarłych na szczycie tych wysokich wież, wież milczenia, sępom na pożarcie. Zwłoki nie powinny były zanieczyszczać ziemi ani ognia, który jest święty.

Widzi marzenia matki nad jej głową, uciekając się do tysiąca sztuczek, usiłuje schwytać jednego z tych ptaków, ale bez skutku. Rysuje je więc na fruujących kartkach, które pokrywają podłogę w jej pokoju.

Te rysunki, elementy mozaiki mojej miłości do ciebie, moje nieśmiałe próby zbliżenia się, by choćby z daleka poczuć zapach twoich marzeń.

Nieobecna, długo byłaś w moich oczach nieobecna. Wycofana z życia, macierzyństwa, wszelkich pragnień. Ślizgałaś się powoli po powierzchni życia, z uśmiechem przyzwolenia na ustach.

Jeśli dzisiaj piszę, to przypuszczalnie dlatego, że ty pisałaś przedtem. Wykradam twoje wizerunki z wierszy, które napisałaś i mi przeczytałaś. Za każdym razem, kiedy otwierałaś czarny zeszyt pełen karteczek, listów, skrawków papieru, na których gryzmołałaś wersy i wiersze, czasami niedokończone, ogarniał mnie lęk. Zawsze się tego trochę bałam. Bałam się twojej duszy, bałam się wspomnień, które mogły powrócić, bałam się tego głosu, który tak długo był niemy i oto nagle zaczyna być słyszalny. Chciałam, żeby to się szybko skończyło, i czułam ulgę, kiedy zamykałaś ten ciężki czarny zeszyt. Chwytałam w locie jakiś obrazek to tu, to tam, i to mi wystarczało. Mała złodziejka klejnotów twojej duszy. Wolałam się ciebie domyślać, wyobrażać cię sobie.

Piszę ciębie.

Nie piszę „do” ciębie ani „dla” ciębie, powinienam raczej powiedzieć: „piszę tobą”.

Gryzmołę twoją twarz z moich marzeń, mieszam ją z moimi kłamstewkami, ze wszystkim, co mi przynosi pocieszenie, zanurzam ręce w pojemnikach z farbą w poszukiwaniu twoich oczu.

Nurzam cię w miksturze urojeń i lęków,  
a potem wyjmuję stamtąd, oczyszczoną, wysub-  
telnią, odmienioną. Chciałabym cię tak wydo-  
bywać w nieskończoność, żebyś nigdy nie umarła.

Kładę cię na moim stole do pracy. Rozdzie-  
lam na kawałki. Rozkładam ci ramiona, nogi,  
unoszę piersi, grzebię w twoim brzuchu w poszu-  
kiwaniu tajemnicy mych narodzin.